



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

ARAB.

Daléj, koniu! lotem, koniu!
 Nad saharskich pustyń piach,
 Patrz, o dzielnym, jak na błoniu
 Z pod twych kopyt wzrasta strach!

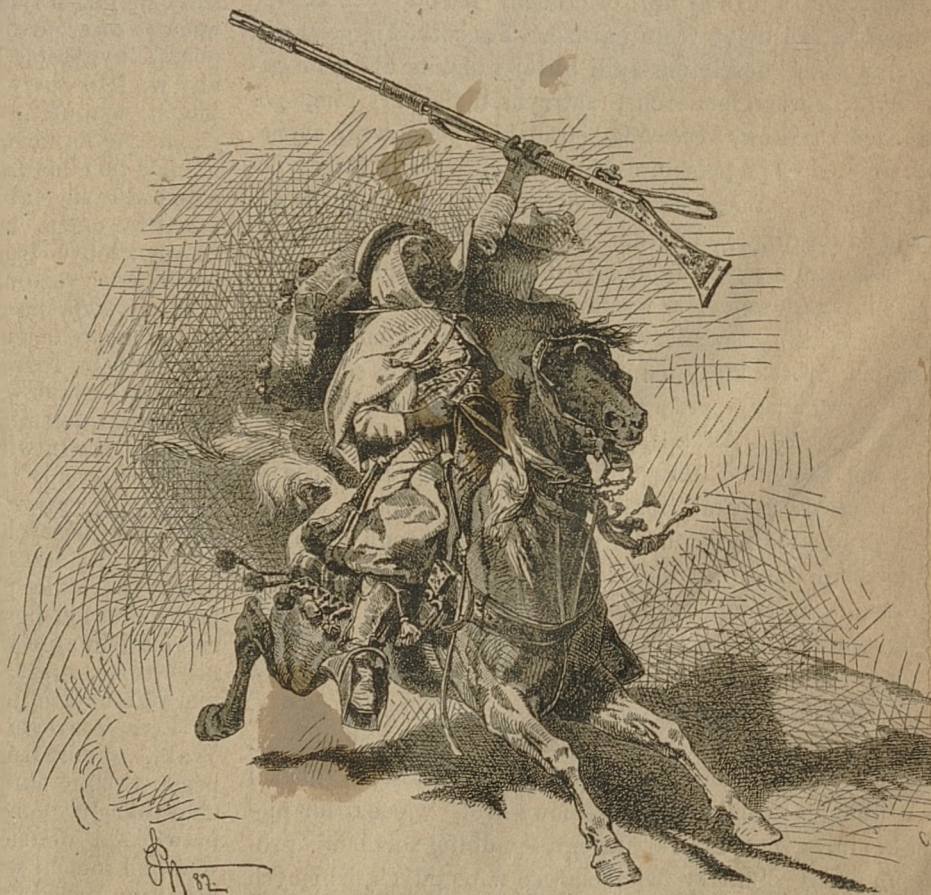
Jak na piaskach poza tobą
 Pozostaje krew i trup,
 Zrabowaną błyszcz ozdoba,
 Dziś wspaniałym dźwigasz łup!

Ja i ty, pustyńne syny,
 Lećmy, jak krwiożerczy ptak,
 Niech w namiotach nasze czyny
 Do odwagi budzą smak!

Daléj, lotem! bo już blisko
 Tkwi w pustyni namiot nasz,
 Woda czeka i ognisko,
 Ty to miejsce dobrze znasz.

Ale cóż to! co ja widzę!...
 Gdzież jest namiot biały mój?
 Czy to złuda?... ja z złud szydę!
 Koniu, koniu, lotu zdwój!...

Na A'!aha!... to nie złuda...
 Niema Boga tylko Bóg...
 Ta skrwawionych szcztów gruda,
 To nasz namiot, tu był wróg!...



PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 5 Stycznia 1576 roku. Było to w zimie 5 Stycznia roku 1576, cały Wiedeń wrzał niezwykłym ruchem, tłumy ludu cisnęły się na ulicach, a wszystko tłoczyło się, śpieszyło ku zamkowi cesarskiemu, aby powitać gości, co z dalekich stron do Wiednia przybyli. I ujrzały tłumy owych gości, wspaniały orszak tworzyli, dwunastu panów go składało, a jeden od drugiego świetniej był przybrany: złoto, jedwabie, klejnoty, jaskrawe barwy raziły oczy patrzących. Niemcy z podziwu aż oczy szeroko roztwierali i z zachwytem patrzali, szepcząc sobie wzajemnie: „Bogaty to musi być kraj, kiedy posłów swoich tak stroi wspaniale”.

Wjechałszy na dziedziniec zamkowy, goście oddali konie pachółkom cesarskim, co naprzeciw nim wybiegli, poczem w podwoje zamkowe weszli. O przybyciu ich wiedzano już tutaj widocznie, bo w paradnej sali cesarskiej zebrani byli pierwsi dygnitarze Austrii, a także Maciej i Maksymilian, synowie cesarscy. Posłowie weszli z głową podniesioną, dłonie ich na rękojeściach szabel spoczywały, skłonili się uprzejmie obecnym i zatrzymali się w pośrodku sali. Wtém ciężka opona, kryjąca jedne z bocznych drzwi, uchyliła się i pod łańdami purpurowej franki, podtrzymywanej ręką pazia, ukazał się sędziwy cesarz Austrii. Czterech pachółków niesło go w lektyce, chory był bowiem i nie mógł iść o własnej sile, a jednak chciał powitać dostojnych gości, przedstawicieli sąsiedniej Rzeczypospolitej, gdyż pragnął przyjaznych z nią stosunków.

W Polsce właśnie tron był wakującym, poselstwo wysłane do Wiednia budziło nadzieję w sercu starego cesarza, że może któremu z jego synów osierocony naród chce koronę ofiarować, a rad byłby temu bardzo. Pachółkowie postawili lektykę na ziemi, goście postąpili bliżej i niskim ukłonem powitawszy sędziwego monarchę, zatrzymali się przy nim, poczem jeden z posłów, wojewoda sieradzki, wysunąwszy się naprzód, przemówił po polsku, oświadczając, że stany Rzeczypospolitej proszą samego cesarza o przyjęcie korony, że nie wzywają żadnego z synów jego, bo położenie kraju, pełne zakłócenia stosunki jego, wymagają doświadczonego męża.

Cesarz z zadowoleniem wysłuchał tej mowy, odpowiedział posłom po czesku, oświadczywszy, że koronę przyjmuje i dziękuje za nią. Lecz kiedy jedno stronnictwo obrało sobie królem Maksymiliana, cesarza Niemiec, drugie równie liczne, na czele którego stała Anna Jagiellonka, wezwało w tymże samym czasie Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodu. Stary, ociężały cesarz zwlekał, marudził z podróżą, pełen energii Batory pośpieszył natychmiast na wezwanie narodu i marzenia Maksymiliana się rozwiały: nie zasiadł ani on, ani żaden z jego synów na tronie Jagiellonów.

Już w ostatnich dniach Kwietnia ujrzał gród wawelski w murach swoich księcia Siedmiogrodu, a był to dzień piękny, dzień wjazdu Batorego do Krakowa. Po całym miesiącu słoty, deszczów, wichrów, nastał wreszcie ranek śliczny, pogodny i ciepły. O czwartej godzinie z południa ukazał się na ulicy do zamku wiodącej nowy król, wjechał na pięknym koniu, w purpurowej odzieży, podbitej sobolami, prowadzono przed nim trzy wierzchowce w bogatych, lśniących od złota czaprakach; świetny orszak rycerstwa polskiego w zbrojach błyszczących, w strojach kosztownych, ciągnął za królem, a między nimi odznaczał się hufiec Jana z Tęczyna,

który dla osobliwości kazał prowadzić za sobą trzy wielbłądy. Dźwięki kotłów, trąb i dzwonów kościelnych, huk dział, przerywały powietrze, mięszały się razem, zlewały w jeden akord tryumfu. Nad głowami rycerzy powiewały chorągwie, furkając wesoło, rumaki rżały, dzwoniły wędzidłami, słońce lało złociste promienie z góry i przeglądało się w zbrojach rycerzy, dodając im blasku.

Świetny to był wjazd monarszy, jeden może z najświetniejszych, to też lud, co wybiegł na powitanie nowego pana, wpadł w szal zachwyty i okrzykami radości go witał, nikt już nie myślał o Maksymilianie, wszyscy byli radzi Batoremu. Rycerskiej postawy, rysów twarzy szlachetnych, zyskał on od razu serce całego ludu i nie pożałował nigdy naród, że powierzył mu swe losy i do końca życia jego kochał swego króla, bo czuł, że on dba szczerze o jego dobro. Próżno sierzdział się Maksymilian, skargi zanosił do papieża, groził Polsce, oraz niecił intrygi, by zrzucić Batorego i samemu zasiąść na tronie Rzeczypospolitej, nie powiodły mu się zabiegi, energiczny książę Siedmiogrodu mu nie ustąpił.

Teresa Jadwiga.

KRÓLEWICZ-TUŁACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

Zanim przybył do Brunsbergi, wyobrażenia jego rozjaśniły się już o tyle, że tron swój przestał mieścić wśród dżwolsów i dwergarsów podziemnych, lecz na ziemi szukać go począł, wypytując ludzi ostrożnie o sprawy królów ziemskich, aby w głębi duszy zestawiać je z wiadomymi sobie okolicznościami, wysnutymi z własnych wspomnień i z rozmowy z nieznanym na norweskich skałach.

Ale pomimo zajęcia się tą głęboką myślą robotą, Gustaw zajmował się także bardzo czynnie wszystkiem, co mu się przed wzrokiem zdumionym ukazywało. Powiedział sobie, że aby zdobyć tron ojca, wydarty przez potężnego wroga, trzeba mieć rozum, aby zaś nabyć rozum, starał się pojmovać wszystko, na co patrzył i co słyszał. Oczywiście było to z razu niepodobieństwem, ale samo staranie się o dojscie do takiego celu rozwijało umysł chłopca z niepojętą szybkością. Ponieważ znajdował się na okręcie, więc okręt stał się dlań pierwszym polem nauki. Tak zwani *chłopcy okrętowi*, dawno pełniący najłatwiejszą część marynarskiej służby, zdumieli się wkrótce, gdy rybacki dzieciak, który przed kilku dniami po raz pierwszy w życiu wstąpił na okręt, teraz prześcigał już najwprawniejszych i najśmielszych w gonitwie po rejach, i linach, i masztach, a na szczyt wielkiego masztu, na tak zwane bocianie gniazdo, dostawał się nieledwie tak łatwo, jakby sam był bocianem skrzydlatym. Było to bardzo naturalnem jednakże w chłopcu tak wprawnym we wdzieraniu się na strome skały, że ztąd właśnie wśród rybaków urosły pierwsze bajki o jego pokrewieństwie z powietrznymi elfami.

Lecz zdarzyła się rzecz dziwniejsza. Oto uczonego pana Wald, współwłaściciela statku, zachwycony zręcznością chłopca w służbie okrętowej i bystrością jego w pojmovaniu ruchów okrętu, pomyślał o spożytkowaniu jego zdolności z jak największą dla siebie korzyścią, i aby te zdolności wypróbować pod innymi względami, jako człowiek wielce uczonej, pokazał mu wśród nudów morskiej podróży książkę i litery na książce, i wytłómaczył głęboką tajemnicę czytania. Robił on to oczywiście w nadziei, że chłopak tajemnicę tę pojmie. z czasem, a jednak gdy w tydzień niecały już Gustaw umiał

czytać tak dobrze, jak nauczyciel, pan Wald przeląkł się po prostu. Nie wiele brakło, aby osada okrętowa i Wald podejrzyc zaczęli w nadzwyczajnych zdolnościach nieznanego chłopca sprawę nieczystą, czary... Szczęściem podróż skończyła się, a sprawy handlowe zajęły kupca, gdy stanął w domu swym w Brunsberdze. Nowe dziwy otoczyły Gustawa w starém kupieckim mieście: takich domów, takich sprzętów, takich zwierząt i zatrudnień takich, nie widział on nigdy, ani mógł ich sobie wyobrazić, więc znowu pochłaniał nowe wiadomości, nowe pojęcia, ucząc się życia.

IV.

Kupiec w kłopotach.

Brunsbęrga, stare Braniewo w Warmii, było podówczas wspaniałym miastem hanzeatyckim i stolicą biskupią. Wygodny, choć niewielki port, jaki tworzy rzeka Passarga przy ujściu do zatoki fryszhafskiej, nadawał mu ważne znaczenie pod względem handlowym, jakkolwiek samo miasto Braniewo leży prawie o całą milę od ujścia, nad rzeką Passargą. Ale niemniej ważnym było Braniewo pod względem oświaty, jaka zeń spływała na kraj, a to z powodu, że tę stolicę zajmował i podniósł do wysokiego znaczenia pod owe czasy sławny biskup Warmiński, kardynał, uczoney i gorliwy Stanisław Hozyusz, jeden z prezesów soboru trydenckiego. Wprawdzie kardynał Hozyusz nie żył już od roku 1579, zakończywszy pracowite życie w Subiaco we Włoszech, ale duch jego żył jeszcze w całej swęj potędze na wielkim świecie obszarze, a więc i w Braniewie, ponieważ tam właśnie osadził Hozyusz Ojców Jezuitów, aby w tym duchu jego dalej działali. Do dzisiaj w starym zamku w Braniewie znajduje się seminarjum katolickie nauczycieli elementarnych z fakultetem teologii i filozofii, nazwane *Lyceum Hosianum*.

Wśród wysokich a wązkich kamienic hanzeatyckiego Braniewa, zajętych po większej części na dole przez sklepy o potężnych drzwiach żelaznych, snuli się cicho, jak cienie, bladzi i szczupli synowie Lojoli, ojcowie Jezuitów; zakon, acz niedawno założony, lecz potężny już był wówczas przez ślepe posłuszeństwo swym ustawom i przez zbiorowy rozum swych członków, gdyż wiadomo, że jednemu z najusilniejszych starań Jezuitów było zawsze garnienie do siebie młodzieży, odznaczającej się zdolnościami i zamiłowaniem w naukach.

Właśnie jedna z tych wątkich i bladych ascetycznych postaci, przesunawszy się z wolna wśród ciasnych ulic Braniewa, wstępowała do wązkiej sieni w wysokiej kamienicy, której dół cały, prócz sieni, zajmował sklep. W głębi tego sklepu, ponieważ nie było chwilowo gości, można było łatwo dojrzeć młodego chłopczyka, za stołem sklepowym pochylonego nad książką. Bystre oko księdza zatrzymało się na tym chłopcu z takim zdziwieniem, że aż i ksiądz sam zatrzymał się na stopniu kamiennym, do wązkiej sieni wiodącym. Jakoż było czemu się dziwić, bo chociaż był to czas bardzo wysokiej w Polsce oświaty, to przecież druk nie był jeszcze tak rozpowszechniony, jak jest dzisiaj. Książki, a raczej księgi, zawsze w olbrzymich formatach, bywały rzadkością, zwłaszcza też w rękach sklepowego chłopaka, nie dla tego wcale, aby sztuka czytania nie była dość pospolitą, lecz że lada brelnia nie była wówczas drukowaną, tylko dzieła rzeczywiście ważne, nadzwyczajne i warte druku, przeto ten, kto je czytał, wydawał się już przez to samo człowiekiem niezwykłym, ponieważ niezwykłymi rzeczami się zajmował. Dla tego to zadziwił się ksiądz tak bardzo, że już podobno zamierzał wstąpić do sklepu, gdy wejście jakiegoś kupującego zmieniło jego zamiary; uczoney chłopiec zajął się gościem, ksiądz wszedł do domu.

Szedł, jak stary tutejszy bywalec, kierując się wolnym, lecz pewnym krokiem na wschody, skąpo oświecone, jak zwykle w starych średniowiecznych domach. Wszedłszy na piętro, otworzył drzwi najbliższe, bez żadnego zawiadomienia swém nadejściu, gdyż były to także drzwi sklepu, ale zawierającego kosztowniejsze rzeczy, niż sklep dolny. To też dy na dole siedział kupczyk, tu na górze pilnował interesu kupca. Kupiec Wald, sprzedając kosztowne wyroby z norweg-

skiego żelaza i zawierając z gośćmi ważne umowy o dostawę lub wyrób. Składy jeszcze kosztowniejszych wyrobów żelaznych, jak np. szable damasceńskie, zbroje medyolańskie i t. d. były jeszcze o jedno piętro wyżej złożone. Stary to zwyczaj miejski mieścić skarby tęp wyżej, im były kosztowniejsze i dla tego to zapewne rodzina, żona i dzieci, przebywały za zwyczaj na najwyższym piętrze. W chwili, gdy pater wchodził, kupiec Wald zajęty był żywą rozmową z jakimś kundmanem, więc pater usiadł na ławie bocznej, najdalej od rozmawiających. Ale gość obcy poznał się na grzeczności, dobrze wychowanego ojca, skończył rozmowę w kilku wyrazach i przechodząc koło niego, głęboko mu się skłonił.

— Czekam rozkazów twoich, wielobny ojcie! — powiedział kupiec, jeszcze zanim tamten kupujący wyszedł, bo część dla „synów Lojoli” to jest dla surowego zakonu celująca uczonością, była pod owe czasy ogólną i szczerą. Zakonnik miał do pomówienia o jakiejś klasztornej dostawie i prędko z tęp się załatwił, a potęp spytał, jaki to tan uczoney, który w księgach szpera, został kupczykiem u pana Walda?

— Ja sam nie wiem, co on za jeden — odrzekł kupiec, ramionami ściskając — dziwna to historia, a chłopak dziwniejszy jeszcze, bo pomyśl, ojcie, że dzieciak ten przed dwoma miesiącami jeszcze nie znał nic na świecie, oprócz ryb i skał, z którymi miał do czynienia, a ja mu tylko raz parę z nudów w czasie morskiej podróży wyjaśniłem na księdze znaczenie liter, i otóż teraz on czyta na mojej księdze i mnie wyjaśnia znaczenie wyrazów czytanych, z których ja nie wszystkie pojmuję!

Zakonnikowi oczy zabłysły na te słowa kupca, tak, jak chciwcowi zabłysnęłyby na widok złota: zdolna młodzieży była podówczas złotem, które ojcowie Jezuitów garnęli do siebie chciwie, aby ją wykształcić i do siebie przywiązać. To, co kupiec mówił o chłopcu, byłoby w każdym czasie zadziwiającem, tępbarziej więc dziwnem było wówczas:

— Jak on się nazywa? zkąd go macie, panie Wald?

— Imię ma Gustaw.

— Gustaw? zkąd pochodzi ten chłopiec, panie Wald?

Zakonnik tak się zajął swą myślą, że się aż zapomniał, i przeto pytał zbyt żywo, i tęp ostrożność Walda obudził. Kto inny możeby odpowiedział szczerze, ale kupiec chytry i ostrożny w skutek zatrudnienia swego, zająknął się natychmiast, jak tylko zbyt ciekawość zakonnika spostrzegł, w mgnieniu oka wspomniął, że ten, kto mu tak niespodzianie Gustawa na okręt przyprowadził, był mocno wpętany w szwedzkie polityczne zamieszki, że zapłacił grubo za przewiezienie chłopca do Brunsbergi, ale prosił o zatajenie przed tępże chłopcem nazwiska tego, kto go na okręt przywiódł. Tajemnica jest zawsze podejrzana i niebezpieczna: po skórze kupca ciarki przeszły na myśl, że chłopiec tajemniczy może być Bóg wie czyjém dziecięciem i że może być wpętany w sprawy polityczne on sam, Wald, który tylko handlować pragnął spokojnie, a o trony i korony nie troszczył się wcale; natychmiast postanowił bądź co bądź pozbyć się niebezpiecznego acz zdolnego kupczyka. Na razie zaś, aby zmylić badania podejrzliwego zakonnika, odpowiedział bez wahania na pytanie jego: zkąd jest ten chłopiec?...

— Z wybrzeży francuzkich. Majtkowie, nabierający wodę, przyprowadzili go z sobą, jako sierotę, szukającego służby.

— A mówiliście przed chwilą, że tak dziwnym sposobem dostał się do was? toż w tęp nic niema dziwnego?... — zagadnął ksiądz.

— Owszem, chłopak tak zdolny i tak bez żadnej opieki tułający się, to przecież dziwne — prędko Wald odrzekł.

— I z tęp imieniem!... — dodał zakonnik, bacznie weń się wpatrując.

— O! to najmniejsza, wszak to jest jedno z najpospolitszych imion w całej Szwecyi i Norwegii — wygadał się Wald.

— A więc go ze Szwecyi przywiozłeś!... — mruknął zakonnik, jakby sam do siebie.

— Ach, nie! tylko... — zaczął jeszcze żywiej kupiec; chciał się poprawić, wymyślając całą bajkę jakąś, ale zakonnik

skinieniem ręki przerwał mu te usiłowania, pewny był już teraz, że Wald ma coś do ukrycia, i nie próbował go badać.

— Oświatę rozprzestrzeniać jest celem naszym — rzekł — nie obchodzi mnie wcale, z kąd on pochodzi, ale jeżeli ma zdolności, to powinniście oddać go do nas na naukę, dla pożytku jego własnego, i ogólnego dobra, panie Wald!

— Ach, z największą wdzięcznością! — zawołał Wald gorąco.

— Jeżeli tak, to niechbym go też zobaczył, a pomówił z nim... — rzekł zakonnik, zdziwiony trochę tą gotowością. Jeszcze słów tych nie dokończył, a już kupiec biegł sam na dół, skwapliwie pełniąc jego życzenie. Pomimo, że Gustaw był mu pożytecznym, przecież Wald, raz naprowadzony na myśli o niebezpieczeństwie, zapragnął pozbyć się go jaknajprędzej i ręce od tej sprawy umyć. Wpadłszy więc do sklepu, gdzie kilkoro ludzi się znajdowało, zawołał chłopca, zaprowadził go żwawo do bokówki w mieszkaniu swém, gdzie nikt rozmowy podsłuchać nie mógł, i chwyciwszy go za ramię, mówił doń żwawo a cicho:

— Pragniesz nauki? trafia ci się szczęście, uczony ojciec Jezuita chce wziąć cię na naukę do klasztoru! Idź prędko do górnego sklepu, bo kazał cię zawołać; jeżeli mu się spodobaś, to niech ci Pan Bóg szczęści, ale pamiętaj, że majtkowie znaleźli cię tułajacem się dzieckiem na francuzkiem wybrzeżu, rozumiesz?... tak mów, jeżeli ci życie miłe! a teraz biegnij na górę!

Za chwilę stanął Gustaw przed szczupłą, bladą postacią księdza w długiej, czarnej sukni; chłopak wszedł z tém przekonaniem, że wypytywany będzie, i że życie jego zależy od zatajenia prawdy, której w gruncie on sam nie wiedział. Zakonnik przecież nie myślał wypytywać, w tej chwili przynajmniej; położył tylko białą swą rękę na ramieniu chłopca i wpatrywał się weń przez chwilę okiem doświadczenia, które już z samej fizyognomii może istotnie wiele wnioskować. Potem spytał łagodnie i cicho:

— Podobno pragniesz się uczyć, mój synu?... —

— Och, pragnę! — z zapalem Gustaw zawołał i ze zdziwieniem patrzył na księdza, bo takiej łagodnej, miękkiej mowy nigdy jeszcze w życiu nie słyszał.

— Czy masz rodziców? —

— Nie mam... — smutno rzekł chłopczyna.

— A po cóż chcesz się uczyć? — jeszcze ciszej zagadnął ksiądz; chłopak aż zadrżał na to pytanie:

— Aby siłę mieć! — odpowiedział bez namysłu, i zaciął usta i zaczerwienił się, czując, że niedobrze powiedział. W istocie było to niedobrze, ponieważ niestosownie było, jak na małego kupczyka, zakonnik pokręcił głową, patrząc na niego zdziwiony:

(d. c. n.).

PANNA BARBARA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dalszy ciąg).

Scena IV.

PANNA BARBARA I JADZIA (Adaś cichaczem za drzwiami się wyryka).

JADZIA (staje przed panną Barbarą).

Kochana panno Barbaro, proszę się na mnie nie gniewać, ja jestem trochę nieśmiała, ale będę się starała wszelkimi sposobami, żeby pani tu u nas było dobrze. Mama mi tyle o dobroci pani opowiadała, ona panią tak kocha, że i ja już panią pokochałam, nie znając jej nawet.

PANNA BARBARA (na stronie).

Chłopak już drapnął, ale z tą dziewczeczką doprawdy podobno trudna będzie sprawa (głośno). Pytanie, czy pokochasz mnie, moja panienko, gdy mnie poznasz. Ja nie jestem wcale miła w pożyciu, uprzedzałam o tém waszą mamę.

JADZIA.

Dla mnie pani będzie zawsze miła, bo ja wiem, czém pani na pensyi była dla naszej mamy. O, ja taką wdzięczność czuję dla pani... (chce się do niej przytulić, panna Barbara ją lekko odpycha).

PANNA BARBARA.

Tylko bez tych karesów, moja panienko; ja tego nie lubię.



Rejón (24).

Pogadajmy lepiej rozsądnie. Ale muszę się wprzód rozebrać, nie prosiłaś mnie nawet, żebym zdjęła kapelus i okrycie. No, już to wychowanie twoje musi być bardzo, bardzo zaniedbane. (zdejmuje kapelus, Jadzia podbiega i pomaga jej zdjąć okrycie, potem kładzie je na krzesle i powraca) Siadajno teraz przy mnie, musimy się lepiej poznać, skoro już mamy przebyć z sobą kilka tygodni. A gdzież to twój brat? Jakiś dziki, niesforny chłopak.

JADZIA (siadając zakłopotana).

Poszedł zapewne do korepetytora. Adaś jest trochę żywy, zwyczajnie jak chłopiec, ale dobry bardzo i uprzejmy.

PANNA BARBARA.

Nie wiem, czy to uprzejmie uciekać z pokoju, gdy gość przybywa. Ale mniejsza tam o niego, mnie idzie o ciebie, dla ciebie, tu przecież głównie przyjechałam. Najpierw powiedz mi,

jaką metodą ciebie uczono? Miałas tu jakąś nauczycielkę, (pogardliwie) pewnie Bóg wie jaką.

JADZIA.

O nie, proszę pani, panna Walerya jest osobą bardzo rozumną i wykształconą, tak pięknie, jasno wszystko wyklada.

PANNA BARBARA.

Wyklada? cóż to znów, akademia, czy co, żeby lekcyje wykladać? Ja tam w te nowości się nie wdaję, ze mną nie spodziewaj się żadnych wykładów, zadam z książki, nauczyć się na pamięć ztąd dotąd, a jak mi nie wyrecytujesz, jak pacierz, to kwita z rekreacyi i drugie tyle zadaję. Co to mi za nauka bez trudu i mozolu!

a pewna jestem, że mnie pani w końcu pokocha, bo jeżeli pani tak kochała naszą mamę i taka była dobra dla niej...

PANNA BARBARA (przerywa nagle).

No, no, dajże pokój tym głupim pensyonarskim wspomnieniom. Przyznasz przecież, że miałaś o mnie zupełnie inne wyobrażenie.

JADZIA.

To prawda...

PANNA BARBARA (śmiejąc się).

Przynajmniej szczerą jesteś. A teraz nie możesz pojąć, jak matka mogła ci tu nasłać taką dziwaczkę, sekutnicę...

JADZIA.

O nie, panno Barbaro, ja nawet w myśli nazwać tak pani nie mogę, bo ciągle mi staje w pamięci, gdy patrzę na panią, ten pokoik na pensyi, i noc, i mama bardzo chora, opuszczona, a drzwi otwierają się z cicha i widzę w nich anioła pocieszyciela, ukochaną mamy opiekunkę, która ją od śmierci uratowała.

PANNA BARBARA (odwraca się, potem wstaje nagle i do okna odechodzi, wraca po chwili, mówiąc na stronie).

O mało mię nie pokonała, ale nie dajmy się (głośno, zawsze tym samym suchym i oziębłym tonem). Moja panienko, już ci raz mówiłam, że tych głupich czułości nie lubię. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. A powiedzno mi, co tam dziś u was będzie na obiad?

JADZIA.

Rosół z pasztecikami, sztuka mięsa, pieczywo z kurcząt, kompot, legumina...

PANNA BARBARA.

Barbarzyństwo! kompot i legumina, same słodycze! Odtąd, kochanko, ja będę obiady dysponowała, a bądź pewna, że nie będzie tu więcej na stole nic słodkiego, nic, oprócz mięsa na wpeł surowego, z krwią.

JADZIA.

O fe, to takie niedobre.

PANNA BARBARA.

Co to fe, co to niedobre? Jestem tu przecież po to, żebym nad waszém zdrowiem czuwała; takie mięso jest najzdrowsze, a słodycze wszelkie to trucizna. A pasternak, czy macie tu w ogrodzie?

JADZIA.

Pewnie niema, nigdy tego paskudztwa nie jadamy.

PANNA BARBARA.

Paskudztwo! pasternak to u niej paskudztwo, najzdrowsza i najsmaczniejsza jarzyna. Już ja się postaram o to, żeby mi był pasternak i musisz go jeść, choćby i codziennie.

JADZIA (żałośnie).

Mama nas nigdy nie zmuszała do jedzenia tego, czego nie lubimy.

PANNA BARBARA.

Mama mogła sobie robić, co jej się podobało, ja mam odmiennie wyobrażenia. Rygor powinien być we wszystkiém, co to mi za wychowanie bez rygoru. O, ja potrafię rygor utrzymać. (wstaje i idzie do drzwi) Czy te drzwi prowadzą na ogród?

JADZIA.

Chce pani się przejść? zaraz panią zaprowadzę.

PANNA BARBARA.

Proszę cię, moja panienko, nie narzucaj mi się ze swoim towarzystwem. Przejdę się sama, za chwilę powrócę, jeszcze ci zadam parę pytań, bo widzę, że tu wszystko trzeba będzie w twojem wychowaniu zmienić, od A do Z. (wychodzi).

JADZIA (wzdychając z cicha).

Już to co prawda, z panną Waleryą nigdy się przy lekcyi nie trudziłam i nie mozoliłam, ale jej wykłady takie były przyjemne...

PANNA BARBARA.

Ze mną musisz się uczyć inaczej, ja się w takie rzeczy nie bawię.

JADZIA.

Jeżeli pani każe, będę posłuszna.

PANNA BARBARA (przedrzeźniając ją).

Będę posłuszna, to znaczy: ta nieznośna sekutnica mnie zamęczy, ale cóż pocznę, nieszczęśliwa ofiara. A jutro napiszesz długi list do mamusi ze skargami i lamentami.

JADZIA.

O nie, panno Barbaro, gdyby mi to nawet trochę przykrości sprawiło, będę się starała pani dogodzić we wszystkiém,

Scena V.

JADZIA (po chwili wbiega Adaś).

ADAŚ.

Ona tu wszystko chce do góry nogami przewrócić; stałem za drzwiami i wysłuchałem całej waszej rozmowy.

JADZIA (stoi przez chwilę nieruchoma na środku pokoju, z rękami splecionymi).

Nie wiem, czy to ładnie podsłuchiwać.

ADAŚ.

Ba! w takim okropnym wypadku fortel wojenny jest usprawiedliwiony. I co ty z nią poczniesz, moja Jadziu?

JADZIA.

Cóż pocznę? będę się starała znosić wszystko cierpliwie do powrotu rodziców, bo inaczej być nie może.

ADAŚ

Ależ rodzice tam jeszcze kilka tygodni mają bawić w Cieplicach, jakże ty z nią wytrzymasz? Bo mnie tam to wszystko mało obchodzi, Małgorzata mi da w sekrecie leguminy i kompotu w oficyjno, gdyby ten smok chciał tu na dobre jakieś dziwaczne potrawy na obiad wprowadzać. Ale ty będziesz strasznie umęczona z tą sekutnicą. Napisz do mamy, niech ją sobie zabierze.

JADZIA.

Nic a nic nie wspomnę o tém mamie, jak możesz mi radzić coś podobnego? Czy chcesz, żeby mama opuściła ojca chorego i spieszyła mi na ratunek? Cóż mi tu wreszcie grozi tak nadzwyczajnego? że będę musiała uczyć się nudnych lekcji na pamięć, że nie dadzą mi słodkiej leguminki...

ADAŚ.

Ależ to ustawiczne zrządzenie? jaby z nią oszalał za pół godziny.

JADZIA.

Ej, cóż mi się stanie. Kilka tygodni prędko przeleci, a niepodobna przecież mamy martwić, rozkładając przed nią żale. Potem, przyznam ci się, mój Adasiu, że i téj panny Barbary, jakkolwiek doprawdy jest trochę, a nawet i bardzo dziwaczna, nie mogę nie kochać, pomimo wszystkiego, nie mogę zapomnieć o jój dobroci i poświęceniu dla mamy.

ADAŚ.

No, jakżeż to jednak wiek ludzi zmienia; co to się zrobiło z téj ukochanej maminéj Basi, co za sekutnica, no!...

JADZIA.

Proszę cię, nie nazywaj jój tak, czy my wiemy, co ją do tego doprowadziło, co tak wpłynęło na jój charakter? Może była nieszczęśliwa pomiędzy obcymi; to czasem różne przykrości taką gorycz wyrabiają w ludziach.

ADAŚ.

Prawda, że gorzka, a kwaśna, ta twoja panna Barbara, dla tego może i słodczy nie lubi. Żeby ją tak zacząć karmić kompotami i konfiturami...

JADZIA.

Konfiturami jak konfiturami, ale że miłością pewnie dużoby się z nią dało zrobić, to pewna. Może jój nigdy nikt nie kochał, od kiedy się z mamą rozstała, a jak się przekona, że my tu wszyscy ją kochamy...

ADAŚ.

Kochaj ty ją sobie, mnie to ani w głowie i zaraz znów zmykam, jak tylko się pokaże.

JADZIA.

Poczekaj tu na mnie, pójdę się dowiedzieć, czy obiad gotów.

(wychodzi jednemi drzwiami, a drugimi wchodzi panna Barbara).

Scena VI

ADAŚ, PANNA BARBARA.

PANNA BARBARA (spostrzega, że Adaś chce uciekać, zbliża się szybko do niego, biorąc go za ramię).

Nie umykajno tak przedemną, mój kawalerze, ja cię nie ukąszę, a chciałabym się i z tobą poznać bliżej. Już to wychowania nie znać na tobie wcale.

ADAŚ.

Wziąłem w tym roku promocją do drugieji klasy, cenzurę mam dobrą, a że nie mam jakoś szczęścia podobać się pani...

PANNA BARBARA.

Chciałabym jednak odpowiedzieć zaufaniu matki waszej i zająć się trochę i tobą w czasie mojej tu bytności. Będziemy czytawali razem.

ADAŚ (oglądając się na drzwi).

Ja, proszę pani, nie mam na to czasu, muszę powtarzać lekcje z korepetytorem, a i zadania wakacyjne odrobić.

PANNA BARBARA.

Znajdziemy czas na wszystko. Ja tu zajmę się bardzo gorliwie i tobą, mój kawalerze, i twoją siostrą, która jak mi się zdaje, nie była wcale dobrze prowadzoną, ani dobrze uczoną. Musi być dziewczyna krnąbrna i niesforna, ale to się przerobi.

ADAŚ (z żywością).

Jak pani może tak mówić o Jadzi; niema w świecie łagodniejszej, poczciwszej dziewczyny. Alboż i dziś naprzykład, to trzeba cierpliwości anielskiej; ja na jój miejscu...

PANNA BARBARA.

Cóżbyś zrobił?

ADAŚ.

Albo ja wiem.

PANNA BARBARA (na stronie, śmiejąc się)

Taką mam ochotę go uściskać, paradny chłopak (głośno). Ale gdzie to ona poszła, ta samowolna panienska? Ja tu inne zwyczaje zaprowadzę, na krok odejść nie pozwolę od siebie, ani minuty spróżnować.

ADAŚ (załamując ręce).

To ją pani ohyba zamęczą. Ona nawet do mamy napisać nie chce o tém wszystkiém, ale ja napiszę, daję słowo (z coraz większym ożywieniem) cobym ja był za brat, żebym patrzył na to obojętnie, jak mi siostrę zamęczają; nie, nie, to być nie może...

(d. n.)

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

— Zobaczysz, Tomaszu — zawołał nagle do towarzysza, który go o parę kroków wyprzedził — że trzeba będzie moje-go muła brać na plecy, nim się na tę górę wygramolimy. Już z pięć razy się potknął i o mało nie runął na ziemię; dziwne ma ten zwierzę zwyczaj, szarpie mię zębami za ramię, a ja takiej poufałości nie lubię.

— Trzymaj go krócej na uzdzie, to się nie będzie tak potykał i głowę kręcił na wszystkie strony.

— Dobrze to mówić, przyjacielu, na to trzeba mieć twoję żelazną rękę. Patrzcież państwo, co za szczególne drzewo! czy je kto siekierą przerażał?

— Nie, to piorun je tak rozpruł. Ale proszę cię, mój Karolu, powstrzymaj choć trochę język w gębie, a pilnuj muła, bo tu droga jest coraz niebezpieczniejsza pomiędzy temi głazami i biedne zwierzę może z łatwością nogę złamać.

Karol jednak nie umilknął, tylko w inną stronę zwrócił swoje wymowę.

— Ostrożnie, ostrożnie, kochaneczku; wolniej trochę, a nie spuszczaś się znów tak zupełnie na mnie, ale sam się pilnuj i patrz dobrze, gdzie stawiasz kopyto. Brawo! teraz zaczynasz mieć rozum, wypocznijmy chwilę. Hej, Tomaszu! czy i ja wraz z tém bydlęciem obowiązany jestem iść za tobą przez te wertepy?

— Idź sobie, jaką chcesz drogą — odrzekł Kanadyjczyk, krocząc śmiało pośród ogromnych odłamów skał — tylko raz już język trzymaj za zębami.

Karol przestał mówić, ale za to zaczął gwizdać, a potem

zanucił jakąś piosenkę. Na to już nawet poważny Tomasz nie mógł się od śmiechu powstrzymać.

— Podoba ci się ta piosieczka? — zapytał Karol — zabawna jest bardzo.

— Mnie tam piosenki nie bawią — odpowiedział Tomasz — śmiech mnie porwał, bom sobie pomyślał, że jak zaczniesz tak głośno otrąbiać obecność swoją w tej okolicy, to niedługo zapewne zachowasz czuprynę na głowie.

— A to bardzo uprzejmie z twojej strony, że cię podobne przypuszczenia pobudzają do śmiechu. Więc to nie są żarty, te wasze historie o skalpowaniu?

— Ty je uważasz za żarty?

— Ba! sam przecież nieraz powtarzasz, że tylko za to ręczyć można, co się na własne oczy widziało.

— Ja to widziałem.

— Ach! widziałeś; to musi dziwnie wyglądać?

— Widok to smutny i straszny.

Droga stawała się coraz gorsza, coraz bardziej męcząca, a tak niebezpieczna, że Karol rad nie rad musiał umilknąć i skupić uwagę, aby wyjść cało z tej trudnej przeprawy wraz z powierzonym sobie mułem. Biedne zwierzęta po kilka razy przystawały i nie chciały wspinać się dalej po stromych skałach, zupełnie gładkich. Tu już Minno podszedł zastąpić Karola i obaj z Tomaszem wyteńczyć musieli wszystkie siły, aby ślizgające się i ciężko obciążone muły pociągnąć za sobą. Wędrowcy zatrzymali się na chwilę na małej płaszczynie, potem puścili się dalej, wdzierając się na ogromną skałę, prostopadłą prawie i całkowicie obnażoną z wszelkiej roślinności. Dostawszy się na jej wierzchołek, zatrzymali się znowu na krótki wypoczynek, lecz na śpiczastym tym szczycie niepodobna było wygodnie się rozłożyć, więc jak tylko muły odetchnęły nieco, mała gromadka spuszczać się zaczęła na drugą stronę góry i wkrótce na pochyłości ukazały się zdaleka karłowate drzewa. Karol powitał ten widok okrzykiem zachwytu i zaraz mu się język rozwiązał z wielkiej radości. Nakoniec po południu wędrowcy stanęli w głębi kotliny, gdzie już oczekiwał na nich Paweł z ojcem Anzelmem.

— Ja sądzę — rzekł ojciec Anzelm — że najdogodniejszym miejscem na obóz będzie ta mała wyżyna u stóp ogromnej skały, gdzie rośnie ten dąb rozłożysty. Gałęzie drzewa osłonią nas od skwaru słońca, a skała stanie za wał ochronny.

— Nie spodziewam się, mój ojczu — odparł Paweł — abyśmy tu mieli napotkać nieprzyjaciół, okolica ta wydaje mi się zupełnie bezлюдna.

— Koczujące plemiona Indyan zapuszczają się w najbliższe okolice — mówił misionarz — i często pojawiają się niespodziewanie, gdy się ich nikt nie spodziewa.

Mała gromadka skierowała się do skały, gdy jednak muły zbliżyły się do tego miejsca, zaczęły się cofać i okazywać nadzwyczajny niepokój, Tomasz i Karol ciągnęli je z całych sił i nie mogli oporu ich pokonać. Paweł zdziwiony wskoczył na małą wyżynę, zbliżył się do skały i mimowolny okrzyk wyrwał się z jego piersi, gdy ujrzał w niej głęboki, czarny otwór. nakształt rozwartej, obrzynie paszczy.

— Bacność! — zawołał misionarz, który szedł w ślad za nim — i weź broń do ręki.

— Ależ, ojczu — rzekł młodzieniec — czyż podobna przypuszczać, aby dzicy Indianie czatowali na nas w tej jaskini?

Zaledwie słów tych domawiał, gdy odskoczył nagle i strzelbę pochwyił z ramienia; ujrzał bowiem w głębi ciemnej pieczary dwoje oczu błyszczących, jak węgle rozżarzone, a w téjże samej chwili dało się słyszeć głucho, groźne mruczenie. Na ten odgłos, Tomasz puścił cugle muła i ze strzelbą w rękę poskoczył na wyżynę z chyżością, dowodzącą najlepiej, że i on w potrzebie odstępował od zwykłej powolności.

— To niedźwiedź — zawołał i stanął u wejścia jaskini — jeśli pan masz ochotę go zastrzelić, panie Pawle, proszę stanąć tam dalej nieco, przy tych śladach, które zwierzę wydeptało, bo to musi być zwykła jego ścieżeczka i teraz także inuś nie pójdzie.

Kanadyjczyk był myśliwym z powołania, od dzieciństwa strzelby prawie z rąk nie wypuszczał; Paweł, znając jego doświadczenie, usłuchał odrazu.

— To tylko bieda — mówił dalej Tomasz — że my nie mamy czasu czekać, aż głód wypędzi tego jegomości z legowiska. Słuchajno, Minno, który z nas się z nim rozprawi?

— Ja -- odrzekł krótko Indyanin, wyjął siekierkę z za pasa i śmiało postąpił do wejścia pieczary, lecz odskoczył w téj samej chwili, gdyż w ciemnym otworze ukazał się niedźwiedź czarny, kudłaty, zamruczał znowu, cofnął się i po raz drugi wychylił ze swej kryjówki, spoglądając na myśliwych zaiskrzonemi oczyma.

— Oho, co ja widzę! kłaniam, panie mysiu! — wołał Karol, ukazując się także na wyżynce.

— A muły? — spytał Tomasz.

— Bądź spokojny, spętane.

Niedźwiedź tymczasem ociężałym krokiem wyszedł z jaskini i, jak to przewidział Tomasz, skierował się wydeptaną swoją ścieżeczką. Ujrzawszy Pawła, który czatował tam na niego, zatrzymał się i usiadł na tylnych łapach, wymachując przedniami w powietrzu. A w tém strzał padł nagle z boku i zwierzę obalił się na ziemię, jakby piorunem rażony. Był to strzał Karola, który z pociesznym zdumieniem spoglądał na swoje dzieło, jakby nie dowierzając, że to on mógł czegoś podobnego dokonać.

— Jak na człowieka, który dotychczas nie zgładził jeszcze z tego świata żadnego drapieżnego zwierza, z wyjątkiem pewnego złośliwego kota, nieźle mi się podobno udało — rzekł wreszcie, prostując się dumnie.

Nikt mu jednak nie odpowiedział, co go nieco zmieszalo, zapytał więc niespokojnie?

— Cóż to znaczy? czy może głupstwo zrobiłem?

— Takiego niedźwiedzia zastrzelić, to gratka nielada, podobną zwierzynę nie codzień się spotyka — rzekł Tomasz nadąsany — ja się rzekłem tego zaszczytu dla pana Pawła, zawczasie wyrwałeś się ze swoim strzałem.

— Jeżeli go trafił na dobre, w samo serce — ozwał się wesoło młody inżynier — to mu powinszować należy, zamiast zrzędzić. Uspokój się, Karolu, ja o to nie mam do ciebie najmniejszego żalu.

— Ja jednak szczerze pana przepraszam — rzekł Karol, a po chwili dodał — muszę tego mysia obejrzeć zblizka; widziałem wprawdzie jego krewniaków w ogrodzie zoologicznym w Paryżu, ale tamci nie mają takiej dzielnej miny, zawsze niby zaspani.

Ale Tomasz chwycił go za ramię, znał on dobrze zwyczaj chytrego zwierza, który wybornie umie udawać nieżywego dla złudzenia myśliwych; sam więc pierwszy zbliżył się do niego z wielką ostrożnością, lecz przekonał się po chwili, że niedźwiedź na dobre był zabity. Kanadyjczyk z pomocą dwóch Indyan stoczył go ze wzgórką, potem rozpalono ognisko, Minno wziął w rękę zapalone łuczywo i wszedł do środka jaskini. Myśliwi wiedzieli wprawdzie, że niedźwiedź czarny żyje zwykle samotnie, niema jednak prawidła bez wyjątku, nie należało więc zaniedbywać żadnego środka ostrożności. Indyanin powrócił wkrótce, obejrzawszy pieczarę starannie, nie znalazł w niej żadnej żywej istoty.

Muły teraz już bez trudności dały się wprowadzić na wzgórek, zdjęto z nich ciężary, wszyscy wędrowcy, nie wylączając ojca Anzelmą, zajęli się przedewszystkiém nagromadzeniem dla nich obfitego zapasu trawy. Potém dopiero Tomasz zabrał się do oporządzenia zwierziny i wkrótce wyborna pieczeń niedźwiedzia skwierczała na ogniu, a smakowity zapaszek unosił się w powietrzu.

Po skończonej uczcie, Tomasz, Minno i Wampa zeszedli ze wzgórze i zaczęli szukać wody; niedługo trwały poszukiwania, powrócili więc po muły, i zaprowadzili je do miejsca, gdzie źródło obfite tryskało ze szczeliny skały. Tymczasem Paweł z misionarzem nacielił pęk sosnowych gałązek, które im miały posłużyć za pochodnie. Chcieli zwiędzić dokładniej wnętrze pieczary, zaciekała ich bowiem niezmiernie mała kamienna siekierka, znaleziona przed chwilą przez Karola, który zwyczajem swoim szperał i plondrował wszędzie, wściubił też nosa i do legowiska zabitego niedźwiedzia.

III.

Troglodyci.

Ojciec Anzelm, idąc za przykładem dawniejszych misjonarzy, których dzienniki z podróży najszacowniejszym są skarbem dla nauki, zapisywał skrętnie wszystkie potrzeby swoje, zasługujące na uwagę i gromadził tym sposobem ważne dokumenta dla późniejszych badaczy. Pawła także podobne przedmioty naukowe niezmiernie zajmowały, miał on gruntowne wykształcenie, czytał dużo i żadne nowsze odkrycie nie było mu obcym. I teraz więc, chociaż śpieszno mu było iść naprzód, z ochotą zgodził się na żądanie misjonarza, aby dłużej w tym miejscu się zatrzymać i obejrzeć zbliżoną podziemię, z którego owa siekierka pochodziła. W czasach niezmiernie dawnych, gdy człowiek nie umiał jeszcze budować domów, chronił się w głębi jaskiń, tak samo, jak niedźwiedź, często nawet wypędzał go z wygodnego legowiska i sam się tam na jego miejscu sadowił. Z upływem czasu, człowiek, obdarzony rozumem i zdolnością kształcenia się, zaczął urządzać mieszkania na powierzchni ziemi, klecił chatki z gałęzi, potem układał ściany z mocnych bierwion, wznosił mury z kamienia.

(d. c. n.)

REJÓW.

Rysunek nasz przedstawia ogród przy dworze w wiosce Rejowie, w lubelskiem. Wioska ta odznacza się malowniczym położeniem. Niezbyt daleko stąd jest inna wioska, która ma nazwę podobną, Rejowiec, do tej przywiązane jest wspomnienie poety Mikołaja Reja, on to bowiem był jej założycielem i nadał jej nazwę. Może i Rejów należał kiedy do jego rodziny.

Zagadka z historyi literatury.

Z NAGRODĄ.

(Rozwiązania mogą nadsyłać czytelnicy i czytelniczki do lat 16 skończonych. Najlepsze będzie wydrukowane i nagrodzone książką pod tyt: *Dziewczęce losy, przekład A. Dzieduszyckiej*. Prosimy o treściwe, niezbyt długie wypracowania, będą przyjmowane do 1 Marca).

Urodził się na początku XVI wieku w miejscu, które później wslawione zostało zwycięstwem Jana Sobieskiego. Był jedynakiem u ojca i w młodocianym wieku niezbyt świetne rokował nadzieje, nie przykładął się do nauk, obmyślał figle, których wspomnienie się przechowało, gdyż później mąż ten stał się sławnym w historyi literatury naszej. Nie w szkołach, lecz na dworach pańskich rozwinął wrodzone niepospolite zdolności pisarskie, łaciny się biegle wyuczył, słynał z dociepu, a że nigdzie miejsca nie zagrzewał długo, więc w obcowaniu z rozmaitymi ludźmi nabył dużo życiowego doświadczenia.

Fortuna mu sprzyjała, ożenił się bogato, posiadał liczne dobra, prowadził życie dostatnie, wesołe, hulaszczę nawet. Zawód swój pisarski rozpoczął od przekładów, następnie dużo pisał, wierszem i prozą. Najznakomitsze jego dzieło, arcydzieło literatury ówczesnej, ma dwa tytuły: z tych jeden przypomina sprzęt domowy najpospolitszy, a drugi człowieka, z którym każdy radby się spotykać jaknajczęściej. Jak się nazywał ten mąż, jakie są jego zasługi w literaturze polskiej?

SZARADA (Szczur).

Cztery zgłoski mnie składają,
Pierwsze klepki mocne dają,
Drugie znajdziesz w alfabecie,
Wszystko w Austrii kraj, jak wiecie,
Lecz gdy teraz nie zgadnicie,
Nie moja w tym trzecia-czwarta przecie.

Łamigłówka liczbowa.

(Od Zosi i Heni dla Wiewióreczki).

Z jedenastu liter imię i nazwisko znakomitego hetm polskiego. Przystawiając litery otrzymamy:

- 11, 4, 2, 5, 10, syn patriarchy.
- 6, 8, 9, 4, zwierzątko gryzące.
- 6, 2, 9, 10, 5, przebranie.
- 7, 10, 3, 2, części niezbędne domu.
- 10, 7, 9, ptak.
- 9, 4, 8, 6, 7, 3, imię męzkie.
- 10, 7, 4, 2, zwierzę.
- 10, 7, 9, 5, ostre narzędzie.
- 3, 7, 9, część twarzy.

Łamigłówka kryształowa (Henia).

- 1. Spółgłoska.
- 2. Liczba.
- 3. Gromada zwierząt.
- 4.
- 5. Część ubrania.
- 6. Rzecz bardzo drobna.
- 7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko broczyńcy ludzkości.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Szarady:

Sa — ra — go — sa.

Łamigłówki zegarka:

- 1. Kwas. 2. Kret. 3. Kare. 4. Kwef. 5. Kuna. 6. Kr.
 - 7. Karb*). 8. Kara. 9. Kwit. 10. Koło. 11. Kler. 12. Kosy.
- Stefan Batory.

Łamigłówki głoskowej:

Wincenty Pol.

*) Przez omyłkę dano niewłaściwe określenie tego wyru w N-rze 1-szym.

TREŚĆ: Arab, wiersz (z drzeworytem). — Pamiętne chwile, p. Teresę Jadwigę. — Królewicz tułacz, powieść przez M. — Panna Barbara komedyjka (c. d.) — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników. — Rejów. — Zagadka z nagrodą. W Dodatku: Najwyższa potęga, wiersz (z drzeworytem). — Nadzieja, wiersz (z drzeworytem). — Żle zrozumiana troskliwie — Nieusuźny Waclaw. Małgosia gosposią. — Nauczyciel w kłopotach. — Dodatek książkowy: Prześladowanie, powi z angielskiego naśladowana.

NAJWYŻSZA POTĘGA.

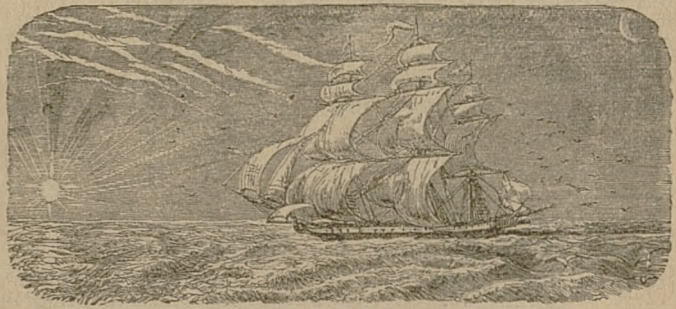
Okręt burzą miotany na bezdenną falę,
Głuchym jękiem się niebu na swe losy żali.
A w tém słońce zabłysło w jednym mgnieniu oka,
I zapytała fala spokojem głęboka:
— W obec Tego, kto może zgubić i ocalić,
Któż śmie losy obwiniać i kto śmie się żalić?

NADZIEJA.

W zimie, w lesie odartym z miłej zieloności,
Tylko wicher i chciwy wilk ponury gości;
Ale miejcie nadzieję, kochane dziecięta,
Przyjdzie wiosna, a z wiosną wykwitną listeczka.



Nadzieja.



Najwyższa potęga

Źle zrozumiana troskliwość.

Leosia i Władzia bardzo lubiły pieski, więc Wuj podarował im po ślicznym piesku maleńkim. Leosia tak lubiła swego pieska, że brała go ciągle na ręce, dawała mu jeść na swoim talerzyku, a nawet zabierała go do swego łóżeczka. Władzia zaś uszyła swojemu oddzielną, ładną, miękką poduszkę do spania, kupiła mu miseczkę, oddzielną miseczkę i nie nosiła go na rękach, gdyż miała ręce najczęściej zajęte robotą.

Wuj patrzył na wszystko z daleka i nic nie mówił. Aż raz, gdy Wuj jadł drugie śniadanie, przybiegł piesek Leosii i zaczął się Wujowi bardzo naprzykrzać i skomleć.

— Leosiu! — rzecze Wuj — czy twój piesek jadł dzisiaj?

— Ach! — krzyknęła Leosia — on nie jadł od wczoraj, bo przecież byliśmy u Babci na śniadaniu, a wróciwszy zapomniałam.

— Otóż widzisz — rzekł Wuj — takie są skutki źle rozumianej troskliwości. Idź do Władzi, moja Leosiu i zobacz, że ona nigdy ze zbytku kochania nie daje jeść pieskowi na swoim talerzu, ani go bierze do swego łóżeczka, ani nosi go na rękach, ale mimo to piesek jej ma wygodne posłanie, bywa często myty i czesany, woda stoi zawsze dla niego świeża w kątku na ziemi, a nie było i nie będzie wypadku, aby piesek jeść nie dostał codziennie we właściwej porze.

M. Krz.

Nieusłużny Waclaw.

Waclaw bardzo dobrze się uczył, był pilnym i rzadko kiedy odmawiał pomocy swoim kolegom, ale od pewnego czasu zaczął być mniej usłużnym. Kiedy np. proszono go o po-

życzenie pióra, szczyryka lub jakiej książki, zwyczajnie odpowiadał: „nie mogę ci dać, bo nie mam, a zresztą mam, ale sam potrzebuję; a kiedy go proszono o pokazanie szczyryka, wyciągał go z kieszeni, pokazywał z daleka mówiąc: „patrz oto jest”, i natychmiast zuów go chował do kieszeni. Czynił to wszystko z miną tak wesołą i tak uprzejmie, że koledzy gniewać się na niego nie mogli.

Pewnego razu, kiedy Waclaw z powodu lekkiej słabości nie był w klasie, koledzy jego namówili się pomiędzy sobą, że spłatają mu niewinnego figla, i przekonują go, jak jest nieusłużny.

Kiedy następnego dnia przybył Waclawek do szkoły, pierwsze zapytanie jego było: „co mamy zadane na lekcję?”

„Niewiem, a zresztą choćbym wiedział, to sam muszę się uczyć” — odpowiedział zapytany kolega. Drugi szkolny towarzysz wskazał mu zadaną lekcję palcem w książce, ale trzymał ją w takiej odległości, że Waclaw nic przeczytać nie mógł. Podobnie odpowiedzieli mu wszyscy inni koledzy.

Bardzo to gniewało Waclawa, ale w duszy przyznać mu-

siał, że i on tak samo ze swymi postępował kolegami, przebaczył więc im ich nieusłużność.

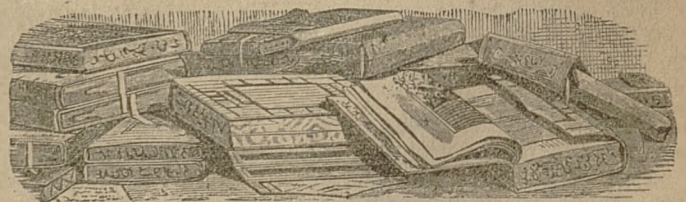
Po wielkiej pauzie wpadł do klasy bardzo zakłopotany. Był prymusem, a nie mógł rozwiązać zadania. Zaczął tedy ponownie prosić swoich kolegów jednego po drugim, żeby mu dopomogli, lecz każdy mu odpowiadał: „Sam nie umiem go rozwiązać, a zresztą choćbym i umiał, to ci go dać nie mogę, bo sam potrzebuję. Znalazł się wreszcie jeden uczeń, który szybko napisał zadanie na tablicy, i powiedziawszy: „patrz, oto jest:” stał je natychmiast.

Waclaw nie mógł już dłużej wytrzymać, rozplakał się jak małe dziecko.

Teraz dopiero sostrzegli jego koledzy, że zadaleko swój żart posunęli; po ukończeniu lekcji zbliżyli się do niego i powiedzieli mu, dla czego tak postępował.

Waclaw uznał swoją winę, i odtąd nigdy już nikomu nie odmawiał swęj pomocy.

Henryk Wernic.



MAŁGOSIA GOSPOSIĄ.

Dzieci, nawet małe, mogą być pożyteczne i pomocne rodzicom, gdy są uważne i grzeczne. Malgosia była to sobie malutka, biedna wiejska dziewczeczka, miała ledwie pięć latek, i chodziła ciągle za swą Matusią Wojtkową, trzymając się po-

wiejsku jęć fartucha. Wojtkowa doła krowy, karmiła prosięta, gęsi, kury, i tym podobne odbywała zatrudnienia, drepcząc naokoło swęj chaty, a Małgosia ciągle chodziła za nią i patrzyła. Aż raz Tatusz Wojtek poszedł daleko na jarmark, na całe trzy dni, a wtém Wojtkowa zachorowała i nie mogła się ani ruszyć z łóżka. Leży tedy i tak sobie wyrzeka po wiejsku:

— O lo Boga! lo Boga! cóż ja tu teraz pocznę nieszczęśliwa! Nim Wojtek wróci, wszystek drób z głodu mi pomarnieje, jak mu przez trzy dni nie będę mogła dać jeść, ani go z kurnika wypuścić, ani na noc do kurnika zagnać! o lo Boga!

Tak lamentowała Wojtkowa, a wtém rzecze Małgosia:

— Matuchno! to ja pójdę drób karmić, i wyganiać, i przyspinać tak, jak ty codzień robisz.

— Alboż ty to potrafisz, taka mała dziecina! — powie Matka. Ale jak Małgosia zaczęła rozpowiadać, jak się brać będzie do tęg roboty, tak Wojtkowa pozwoliła, nie mogąc poradzić sobie inaczej. Dopiero gdy z trudem podniósłszy głowę, spojrziała w okno i uspokoiła się Wojtkowa, widząc, jak ślicznie Małgosia umie obchodzić się z drobiem.

Wszystek drób znał ją i biegł do nięj, a ona doskonale wiedziała, jakie któremu dać pożywienie i ile; a gdy utrudziwszy się przy gospodarstwie usiadła sobie na trawie w towarzystwie wiernego Burka, to wszystek drób, szczególnięj kurczątka zbiegały się do nięj i z fartuszką jęć dziobały żywność. Umiała nawet poznać, czy drób jest wszystek, gdy zamykała go na noc, choć nie umiała jeszcze rachować. Ani jedna sztuka drobiu nie zginęła za gospodarstwa Małgosi, aż Matka wyzdrowiała i Tatusz z jarmarku powrócił.

Azet.

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘĆDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dalszy ciąg).

Tak wychwalali się chłopcy, dowodząc, iż są tak zahartowani na trudy i tak nazwyczajeni do różnych swawoli, że zamieszkanie w łabędziej chatce będzie owszem bardzo jeszcze zwyczajną i poważną zabawką dla takich jak oni zbytników. Waciu aż się za głowę wziął, słuchając tych wszystkich przechwałek, okrzykiwanych co sił starczyło, a Jędrzej tylko głową kiwał i uśmiechał się, potwierdzając wszystko, i Waciu sam nareszcie nie wiedział, czy się śmiać, czy surowości użyć?.. gdy wtém:

— Co tu za krzyk? co się tu dzieje? A! to dzieci przyjechały!.. rzekł niemłody pan, wychodząc prędko na łączkę z ogrodu, od strony dworu, którego dach było widać z po za drzew owocowych.

Był to pan Janicki, dzierżawca; uściskał dzieci, poznał się z Waciem, przywitał z Jędrzejem, spytał o państwa Małeckich i zaprosił wszystkich do dworu na obiad. Ale dzieci oświadczyły, że nic im nie będzie smakować, tylko to, co sobie same ugotują, ponieważ mają zamiar Robinsonami zostać i w łabędzim domku mieszkać, jeżeli tylko pan Łucki na to pozwoli, i na nowo zaczęto dobijać targu z Waciem o owo pozwolenie.

Waciu zatem zwrócił się do pana Janickiego, jako do człowieka doświadczonego i przyjaciela państwa Małeckich, prosząc o radę, czy podobna zgodzić się na prośbę dzieci? Pan Janicki ręką tylko machnął, westchnął i rzekł:

— Mój kochany panie, gdybyś pan wiedział, co to są za zbytniki i jak im własny ich Ojciec w zbytkach nieraz pomaga, tobyś się nie wahał. Gdyby nie to, że są to przytém posłuszne i dobre dzieci, to niktby nie wytrzymał z niemi!

Chłopcy śmiejąc się skoczyli mu na szyję za taką odpowiedź, a Waciu mówił:

— Ha, jeżeli tak, to mieszkajmyż w łabędzim domku, tyl-

ko wymawiam sobie, że do stawu dzieci się zbliżać nie będą; gdyby nie to, że domek stoi z daleka, nigdy nie przystalibyśmy na takie wiejskie mieszkanie.

Pan Janicki powiedział, że domek miano dopiéro przysunąć do stawu. Dzieci przyrzekły, że zbliżać się do niego nie będą i uściskawszy Waciu, upewnili, że bardzo dobry będzie z niego nauczyciel, poczem gwarno zaczęły radzić o obiedzie i urządzeniu domu. Pan Janicki chciał chociaż przysłać obiad, ale dzieci na to nie przystały, chyba tylko dla pana Łuckiego.

— Nie, moi kochani — rzekł Waciu — jeżeli wy macie być gospodarzami w waszjęj chacie i mnie w nięj gościćie to myślcieć sami o jedzeniu i dla mnie; będę jadł to, co i wy.

Tęgo tylko brakło dzieciom do szczytu radości. W jednęj chwili wśród wielkiego hałasu urzeczyli się, co mają robić i zaczęli biedz kędyś w trzy różne strony.

— Stać, dzieci! — krzyknął Waciu.

I dzieci natychmiast stanęły, jak wryte, dowodząc tēm, że nie próżno chwalono ich posłuszeństwo i grzeczność.

— Zastanówcie się — rzekł Waciu — że ja chcę sumienie obowiązkowi swęgo dopełnić i z oka was nie spuszczać a przecięj się rozodrzcć na trzy części nie mogę, abym z każdym biegł w inną stronę. Pomyślcieć proszę, jak temu zaradzić?

— Ależ bardzo łatwo! — zawołał Stefcio — oto, choć przy zajęciu gospodarstwem każdy z nas będzie pracował w innęj stronie, to przecięj będziemy zawsze tak blisko, żeby pan nas widział. Pamiętajcie, Leoś i Oleś, żeby się zawsze oglądać, jak biegniecie i uważać, żeby was pan Łucki widział!

Obaj młodsi tylko kiwnęli głowami na takie rozporządzenie starszego i znów puścili się biegiem każdy w inną stronę. Waciu i pan Janicki patrzyli za nimi. Chłopcy istotnie nie odbiegli daleko. Grządkki z jarzyną otaczały łączkę z dwóch stron, z trzecięj były drzewa owocowe, a z czwartęj ów laszek maleńki. Dzieci wiedziały dokładnie, gdzie co rośnie. W niedługą chwilę Leoś nakopał kartofli, używając kawałka drewna zamiast szpadla, Oleś nazrywał grochu w strączkach zielonych, a Stefcio przydzwigał dwa pęki suchych gałązek z lasku. Rozpalono ogień na środku łączki i pieczono kartofle w popiele tak, jak to robią pastuszki. Wyluskano smaczny słodki groszek zielony i zabierano się do gotowania.

— Hm — rzecze Jędrzej — ależ to będzie zapewne potrzeba garnka, łyżek, miski, wody, talerzy, pójdę tedy po to wszystko do dworu.

— Ani się Jędrzej waż! — zawołał Leoś — dzisiaj na osiedlinach w naszym własnym domku my sami zrobimy wszystko, a ty będziesz jadł tylko, bo to będą Saturnalie!

— Co będzie? — spytał Jędrzej zdumiony.

— Saturnalie! wszak prawda, panie Łucki, że dawnięj u starożytnych pogan bywało takie święto doroczne, w czasie którego nie było różnicy pomiędzy ludźmi, i owszem, jeszcze panowie służącym swoim usługiwali, a to na pamiątkę, że wszyscy ludzie są braćmi?

— Prawda! — przyznał Waciu, który śmiejąc się razem z panem Janickim patrzył na te przygotowania.

— Ale ja zapomniałem, jak to się ci starożytni ludzie nazywali! — rzecze Leonek — panie Łucki, jak oni się nazywali?

Waciu objaśnił, że ci starożytni ludzie zwali się Rzymianami. Potem chłopcy pobiegli z panem Janickim do dworu i przynosili w koszykach wszystko, co uważali za potrzebne do obiadu, zapewniając Waciu, że ojciec na wszystkoby im pozwolił, co czynili, ponieważ jego zdaniem każdy człowiek powinien umieć radzić sobie sam w potrzebie. Waciu to przyznał i uspokoił się o dzieci, gdyż rozpatrzywszy się, zobaczył drzwi dworu nie bardzo daleko na końcu łąki i prostęj lecz zarosłęj trochęj alei w sadzie. Uspokoił się co do bliskości ludzi, ale z obawą patrzył na robotę z ogniem, zwłaszcza, gdy przyniosłszy wody ze źródła na brzegu lasu, zabierano się w nięj groch gotować.

— Na pieczenie kartofli zgoda, ale na gotowanie nie zgadzam się, bo się ukropem poparzyćcie! — zawołał.

Przypuszczono zatem Jędrzeja do pilnowania ukropu, ale

więcej do niczego. A gdy przyszło do roboty jajeczniczy, to choć Wacio drżał o dzieci, przecież musiał przyznać, że widocznie wprawne były do owych rzeczy. Przyrządzały wszystko same, a Stefcio rozporządzał, posługując się młodszymi a zakazawszy im przystępować do ognia tak właśnie, jak jemu samemu zakazywał Wacio. Wacio jednak widział, że dzieci umiały i miejsce odpowiednie do tego wybrać, i ognisko z kamieni urządzić, a to wszystko na łące, dość daleko od zabudowań, żeby iskra do nich nie doleciała.

Nareszcie gdy Stefcio oświadczył, że obiad gotów, usiedli wszyscy i jedli. Obiad wprawdzie nie był wedle zasad podany, bo nie było rosółu ani żadnej polewki, lecz dzieci powiedziały, że dla tego właśnie jest dobry, bo one rosółów i polewek nie cierpią. Zresztą nie mógł Wacio zaprzeczyć, że jajecznicza była wyborna, groszek smaczny, bo doskonale masłem świeżem zaprawny, jakby i kucharz lepiej nie potrafił, a kartofle pieczone przecież także dobre są z młodem pachnącym masłem. Zjedzono wszystko do odrobiny, i najeżdzono się naprawdę. Podjadłszy i posiedziawszy chwilę spokojnie przy jedzeniu, dopiero chłopcy poczuli, że zmęczeni byli i pokładli się na murawie. Istotnie obiad, choć tak prosty, wymagał dużo trudu, bo trzeba było i kopać kartofle, i zbierać drzewo, i strącki zrywać, i ognisko urządzać i t. d. Wacio spostrzegł, że chłopcy się zmęczyli, a że rad był, aby im się odechciało tej niebezpiecznej zabawy, więc rzecze:

— A jakże teraz będzie ze zmywaniem naczyń? porzucić tak przecież wszystkiego nieporządku nie można, pięknie wyszedłby Robinson, gdyby swoje gospodarstwo codzień rozrzucał i zanieczyszczał, a nigdy nie porządkował. Któż tedy zrobi ład z naszą kuchnią?

Chłopcy popodnosili głowy i popatrzyli jeden na drugiego i na nieporządek kuchenny.

— A żeby Maryśki ze dworu zawołać, toby posprzątała — rzecze Stefcio.

— Co? — zawoła Jędrzej — teraz, gdy się już we dworze rozniosło, że sami sobie gotujemy, mamy wołać Maryśki? a toby nas wyśmiały dziewuchy, że nie umiemy obejść się bez nich ani na jeden dzień! Toby był wstyd dla nas; niech paniczki śpią, już ja tu sam z tém dzieciństwem się załatwię w jedną chwilę.

— O! nie! wszakże to miały być Saturnalie i Jędrzej nie robić nie miał! — zawołał Oleś i zerwał się na nogi.

Dwaj inni wstali także.

— Ale bo zmywanie naczyń, to nie jest męzka rzecz! — zauważył Leoś, krzywiąc się.

— A zanieczyszczenie ich, czy to rzecz męzka? a niestałość w postanowieniach, czy jest rzecz męzka? — mruknął Wacio, jakby do siebie.

Chłopcy zawstydzili się lenistwa.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe (Witold Ł.).

| | | |
|--------|-----|-----|
| Góz | le | ty |
| tu | žno | kie |
| dy | po | tu |
| w szka | le | pró |

Odczytać znane przysłowie.

Łamigłówka zgłoskowa (Ewci).

Z następujących zgłosek: ce—cher—dy—dward—e—go—in—le—lu—o—ran—ren—si—sarz—wi—yur—zu— ułożyć wyrazy: 1. Gwałtowny ruch powietrza. 2. Barwa niebieska. 3. Imię męzkie. 4. Monarcha. 5. Lud dziki w Afryce. 6. Mia-

sto w Afryce. 7. Rzeka w Europie. 8. Rzeka w Syberii. Pierwsze i ostatnie głoski, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwę Pisemka, które ja i inne dzieci bardzo lubimy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Szarady:

Ka — lisz.

Łamigłówki kryształowej:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|--|
| | W | | | | |
| | C | I | S | | |
| W | I | L | N | O | |
| | O | N | A | | |
| | | O | | | |

Skrzynka do listów.

Łabędź w liściku porządnie napisanym przysłał nam dwie zagadki bardzo dobre, wydrukujemy je chętnie, a ponieważ Łabędź chce stale z nami korespondować więc uwagę jego zwracamy, że niewłaściwie pisze: *Szanowny panie Redaktorze*, gdyż na liściki młodych korespondentów odpisuje kierowniczką Pisma, M. J. Zaleska.

Wilczysko bardzo ładny liścik napisał i żalujemy tylko, że od tak dawna będąc *zagorzałym* czytelnikiem „Wieczorów” teraz dopiero pomyślał o bliższej z nami znajomości. Takie miłe liściki, choćby ich jak najwięcej nadchodziło, znudzić nikogo nie mogą.

Skowronek i Słowik z nad Zbruczka muszą to być bardzo roztropne ptaszka, skoro smakują już w powiastkach takich, jak „Reginka”. Kazio przesyła im serdeczny uścisk i życzy, aby chora łapka Skowronka jaknajprędzej wydobrzała; modlić się o to będzie gorąco matka ubogich bliźniaczek, której oddaliśmy przysłałego rubla.

Heniusi K. Szanownej autorce „Reginki” doniesiemy, że czytelniczki ciekawe są bardzo dalszych losów tego rodzeństwa, może też zechce tę ciekawość zaspokoić.

Śnieguła domyśla się zapewne i sama, w jak szaloną radość zakończyła jej listu wprawiło wiadomego wynalazcę. Ile to on musi mieć hartu i mocy nad sobą, aby pozostać sprawiedliwym, gdy go na takie próby wystawiają miodowe słówka panienek!

Gołąb z nad Warty nadesłał dwie dobre łamigłówki, które wydrukujemy niezadługo, dziękujemy szczególnie za to, że tak porządnie napisane.

Stasiowi S. P. w Kamieńcu. Przesłany rubel oddany ubogim dzieciom, dziękujemy serdecznie w ich imieniu. Co do *Pogudanek o sztukach pięknych*, jeżeli tylko nie zajdą w tém jakie niespodziewane przeszkody, będą one w dalszym ciągu podawane, teraz bowiem kolej na malarstwo. Życiorys Kochanowskiego był już obszerny w „Wieczorach” nie moglibyśmy więc teraz zamieścić drugiego; inne krótkie artykułiki możeby się przydały, jeżeli treść okaże się stosowną. Mamio serdeczne pozdrowienie przesyłamy.

Pszczółkę z nad Słuczy przepraszamy za opóźnienie odpowiedzi, niemniej jednak serdecznie dziękujemy za życzenia i opłatek, a także za 50 kop. dla ubogich dzieci. Wypracowania, o jakich Pszczółka wspomina, bardzo są pożyteczne, przedmiot to jednak zanadto trudny, aby mógł być traktowany z należyłą znajomością rzeczy przez młode dziewczątka, do druku też z pewnością wypracowania te stosowne nie będą.

Zuzulka z nad Tykicza takia wyborne łamigłówki układa, że prosimy ją o stałe współpracownictwo. Wszystkim kochanym dziewczętkom, Zuzulce, Pośmięcuszce i Kruszynce, dziękujemy za życzenia i wzajemne, choć spóźnione, lecz niemniej serdeczne przesyłamy.

Kruszynki łamigłówki także są bardzo dobre i wszystkie będą drukowane, trzeba tylko mieć troszkę cierpliwości, bo mnóstwo jest dawniej nadesłanych.

Adelci H. w Turku. Łamigłówka jest dosyć dobra, ale chyba później może być drukowana, bo bardzo dużo podobnych czeka od

dawna kolei. *Szanownego Redaktora* niema u nas, odpowiada więc za niego kierowniczką Pisemka, M. J. Zaleska i uwiadamia kochanych korespondentów, iż Skrzynka do listów do niej należy.

Słowikowi. Wszystkie książki, odstępowane po cenie niższej dla naszych prenumeratorów, mogą być nabywane na takichże warunkach i w odoosnych księgarniach. Jaskółka z nad Wisły musi lubić śpiew Słowika i pewnieby go chętnie posłuchała, ale cóż, kiedy teraz tak zimno i brzydko, że biedne ptaki nie mogą pofrunąć do lasu. Łamigłówni wydrukujemy, o ile nie znajdziemy w nich omyłek, co trudno jest sprawdzić na razie.

Orzeł z nad Wisły takie mnóstwo łamigłówek nadsyła, że nie możemy nadażyć z drukiem, a musimy i inne zamieszczać. 19 1/2 kop. oddaliśmy biednej wdowie, matce bliźniaczek.

Jastrząb, jak na ptaka drapieżnego i tak jest bardzo uprzejmy dla Słowika i ten zapewne przymówkami jego się nie obraża. Nie zawsze łamigłówna może być prędko umieszczona, zależy to od różnych okoliczności. Młodzież nadsyła ich moc wielką i wydrukowanie wszystkich jest niepodobieństwem, musimy więc tylko lepsze wybierać. Przepraszamy bardzo Jastrzębia, że do jego ła-

migłówni, w 1 szym N-rze drukowanej, zakradła się omyłka, ale sam ptak kochany temu winien, bo wyborną łamigłównę tak nie wyraźnie wypisał, swojemi ptasiemi łapkami.

P. C. Dąbrowskiej w Monasterzyskach. Warunki prenumery ty mieszczą się w każdym numerze Pisma, do przyslanego rubla należy dodać na kwartał kop. 25.

P. Borysowskięj. Ponieważ sami opłacać musimy pocztę za każdego prenumeratora półrocznie, nie możemy przeto przyjmować zapisu inaczej jak rocznie, półrocznie lub kwartalnie, a nigdy na półczwartą lub półpiątą miesiąca, chcąc więc odbierać Wieczory w kwartale przyszłym, należy dopłacić 50 kop.

P. Halickięj w Pskowie. Po wysłaniu portretu, żądanej grzy i książek, pozostało na prenumeratę Wieczorów rs. 4 kop. 72; wypada więc dopłacić do końca roku kop. 28.

Do wszystkich. Osoby, które żądały portretów Kościuszki, mają je wysłane. Prosimy o wypisywanie wyraźnie w adresach zarówno imienia osoby jak nazwy stacyi.

SPIS KSIĄŻEK.

które prenumeratorzy **Wieczorów Rodziny** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi po cenie niższej.

Wydawnictwa pp. Gebethnera i Wolffa.

Izdebska. Pamiętnik Babuni z ryciną, cena kat. rs. 1 kop. 20, niż. 80 kop.

E. Lejowa. Fantazyja i prawda, powieści z rycinami kolorowemi cena kat. rs. 1 niż. 65 kop.

Chęciński. Powiastki przełożone z francuzkiego z rycinami cen. kat. rs. 1 niż. 65.

Przyborowski. Baśni ludowe z rycinami kolorowemi cena kat. 1, 50 niż. 1.

Grzeczne dziewczynki przekład z francuzkiego z licznymi rycinami cen. kat. 1, 20, niż. 80 kop.

Sekrekcj białego dworku przekład z angielskiego z ryciną cen. kat. 1, 20 niż. 80 kop.

Zaleska. Obraz świata roślinnego z licznymi rycinami cen. kat. 2, 25 niż. 1, 50.

Wydawnictwa p. Manrycego Orgelbranda.

Dzieduszycka Anastazyja. Jak sobie dziatwa radziła Opowiadanie dla młodzieży od lat 9 do 12 w oprawie kartalogowa rs. tonowanej. Cena ka 1 niż. na 75 kop.

„ Z dziedziny przyrody, przekład z Carey'a z dwiema rycinami, w opr. kart. cena kat 70 kop. niż. na 50 kop.

„ Szary dom, powieść dla młodzieży, przekład z ang. Greene'a cena kat. kop. 50 niż. na 35.

Czepieliński Fl. Sława, opowiadania z historyi starożytnęj dla młodego wieku, ozdobione licznymi wizerunkami, w opr. kart. cena kat. rs. 1 20 niż na 90 kop.

Hoffmanowa Kl. Powieści z Pisma Świętego cena kat. 1, 50 niż. 1 rs.

Izdebska Wł. Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, w opr. kart. rs. 1 niż. 75 kop.

Teresa Jadwiga. Ze świata rzeczywistości i ze świata marzeń, 5 powieści dla dzieci z 5 rycinami w opr. kart. cena kat 1, 20 niż. 90 kop.

Zajczkowska Z. Trzy powieści dla dzieci z 6 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 niż 90 k.

A. S. Powieści dla młodego wieku cena kat. 1 niżona 75. toż samo z rycinami cena kat. 1. 50 niż. 1, 20.

Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecinny 2 tomy cena kat 1 80 niż. 75 kop.

Wydawnictwa p. Hösick'a.

CUDA NAD CUDAMI 5 komedyi czarodziejskich dla małych dzieci z kolorowanymi rycinami wydanie 2-ie tańsze cena kart. rs. 3, niż. rs. 2, 25.

Cuda nad cudami. Czarodziejsko-pantomiczny teatrzyk w ruchomych przemianach i prześlicznychkolorowych obrazkach dla grzecznych dzieci. Ozdobnie kartonowane, cen. kart. Sino-brody rs. 1. Kot w butach rs. 1. Piękna księżniczka w uspio-nymlesie rs. 1. Aladyn czyli Cudowna Lampa rs. 1. Kopciuszek rs. 1 niż. każda po kop. 75.

Ziarnka mądrości Ezopa, w bajeczkach i wierszykach, oraz prześlicznych obrazkach kolorowych na tle złotém. Dla małych dzieci. Z kolorową okładką, cena kart. rs. 1 niż. 75 kop.

Don-Kiszot'a z Manszy przygody, podróże i wielkie czyny. Ku uciesze i zabawie małych dzieci, z wiel. kiemi kolorowanymi rycinami i kolorową okładkącena kop. 50 niż. 37 1/2.

Bieda z nędzą. Baśń ludowa, opracowana dla młó dzieży przez K. Wł. Wojcickiego, z prześlicznymi rycinami kolorowemi (chromolitografiami) Wł. Szymanowskiego z ozdobną okładką kartonowaną cena rs. 1, 20. niż. kop 90.

Pan Twardowski. Podanie ludowe według klehdy K. Wł. Wójcickiego dla małych dzieci opracowane, z pysznymi kolorowanymi ilustracyjami (oleodrujami) Wład. Szymanowskiego. Ozdobnie kartowane, z kolorową ryciną na tytule. Cenars. 1 20 na kop. 90.

Rozrywki na dni święteczne. Powiastki, komedyjka i przypowieści moralne dla młodzieży, przez Z. Kaplińską. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1, 20 bez oprawy kop. 75, kartonowane rs. 1 niż. w oprawie kop. 90. kartonowane kop. 75 bez oprawy kop. 57.

Powieści z Pisma Świętego. Wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa z wieloma ryc. dużym wyraźnym drukiem. W ozdobnej opr. kop. 75 niż. kop. 57.

Przechadzki ojca z dziećmi, po polu, łąkach, lesie i ogrodzie, czyli świat roślinny w powieściach, rozmowach i opowiadaniach, przez Emilję Lejową. Cena w ozdobnej opr. rs. 2. w opr. zwycz. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. oprawie rs. 1, 50 w zwycz. rs. 1, 12 bez oprawy rs. 1.

Pamiętnik Laury. Upominek babuni dla dorastającej wnuczki, przez Felicyą Szymanowską. Z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie, z bogatym wyciskami i złaconiami rs. 2 w opr. zwycz. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. opr. rs. 1, 50 w zwycz. opr. rs. 1, 12 bez opr. rs. 1.

Małi Mężczyźni. Powieść pani Alcott, z angielskiego. Cena w oprawie rs. 1 bez opr. 75 niż. w opr. 75 bez oprawy 57.

Za przesyłkę pocztą dolicza się po kop. 20 do każdego rubla wartości książek.